

„Poruszający popis dziennikarskiego kunsztu... A przy tym absolutnie fascynująca lektura”.
ERIC METAXAS



MÓWIĄ O NAS: NIEWIERNI

*Autentyczne historie chrześcijan prześladowanych
przez islamskich ekstremistów
na Bliskim Wschodzie*



MINDY
BELZ
— DZIENNIKARKA —
MAGAZYNU WORLD

Ten sam los, jaki spotkał Żydów w Niemczech w latach trzydziestych, mieszkańców Rwandy zaś – w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, jest teraz udziałem chrześcijan w Iraku i Syrii, znów przy biernej postawie Stanów Zjednoczonych. Amerykańscy dziennikarze po raz kolejny ignorują ten dramat, rozgrywający się na oczach naszego pokolenia. Jednak, dzięki Bogu, jedna dziennikarka go nie zignorowała. W istocie sama sporo przeżyła i zaangażowała się w życie chrześcijan na Bliskim Wschodzie. Pisząc książkę *Mówią o nas: niewierni*, dała zaś popis dziennikarskiego kunsztu i przenikliwości. To śmiałe i absolutnie fascynujące dzieło, z którego możemy dowiedzieć się, jak doszło do ludobójstwa i prześladowań na wielką skalę, które trwają na Bliskim Wschodzie w tej właśnie chwili. *Tolle lege!*

ERIC METAXAS, autor bestsellerów „New York Times” *Bonhoeffer, Cuda*, prezenter radiowy

Być chrześcijaninem w Iraku i Syrii oznacza nieustannie bać się o własne życie. W tamtejszych kościołach eksplodują bomby, giną kapłani, a chrześcijańskie dzieci porywane są dla okupu. Rodzinom, których przodkowie przetrwali dwa tysiące lat w regionie przemierzonym niegdyś przez Chrystusa i Jego uczniów, grozi teraz śmierć z rąk islamskich terrorystów. Dziennikarka Mindy Belz już od ponad dziesięciu lat zajmuje się tematem prześladowań chrześcijan na Bliskim Wschodzie. Książka *Mówią o nas: niewierni* to jej błyskotliwa relacja o tym, co znaczy być uczniem Jezusa w tym regionie świata. Jest to wstrząsająca, acz nierzadko inspirująca opowieść o ludziach niezachwianej wiary.

MELANIE KIRKPATRICK, autorka książki *Escape from North Korea: The Untold Story of Asia's Underground Railroad*

Dzieło Mindy Belz powinno być nominowane do nagrody Książka Roku! Świat nie może dalej ignorować ludobójstwa i prześladowań na Bliskim Wschodzie. Przeczytajcie więc tę książkę, a potem kupcie po jednym egzemplarzu dla wszystkich swoich przyjaciół!

DR RICK WARREN, autor książki *Życie świadome celu*

Ta pełna wrażliwości, pouczająca i pięknie napisana książka ma w sobie całą bezpośredniość i emocjonalny ładunek dobrej powieści. Ponadto z powodzeniem łączy drobiazgową relację o życiu prawdziwych ludzi z ogromną wiedzą i znajomością współczesnych problemów Bliskiego Wschodu. Belz daje wyraz głębokiemu zatroskaniu o los pełnych odwagi chrześcijan, cierpiących tam prześladowania, a jej opowieść o nich jest wciągająca i intymna aż do bólu. Wierzę, że ta wnikliwa, klarowna i pojędnawcza w tonie książka przyczyni się do rozwiania nieporozumień co do skali cierpień znoszonych przez wyznawców Chrystusa na Bliskim Wschodzie, jaka ogarnęła wiele środowisk. Poruszająca i intrygująca relacja Mindy Belz nie mogła doprawdy pojawić się na księgarskich półkach w bardziej odpowiednim momencie. Po jej lekturze czytelnicy natychmiast zapragną pomodlić się za naszych braci i siostry żyjących w tym niespokojnym regionie świata. Wiem, bo sam poczułem taką chęć.

MICHAEL CROMARTIE, wiceprezes Centrum Etyki i Polityki Społecznej
w Waszyngtonie

Mindy Belz zdobyła sobie uznanie dzięki wnikliwym i trafnym relacjom na temat światowych wydarzeń w ciągu ostatniego ćwierćwiecza. W swej książce *Mówią o nas: niewierni* opowiada, z perspektywy samych Irakijczyków, o rozwoju islamskiego ekstremizmu i pogarszającej się od 2003 roku sytuacji chrześcijan na Bliskim Wschodzie. Jest to opowieść pouczająca, przemawiająca do wyobraźni i pięknie napisana. To obowiązkowa lektura dla wszystkich, którym nie jest obojętne to, co dzieje się na Bliskim Wschodzie.

FRANK R. WOLF, emerytowany członek Kongresu (1981–2014), honorowy starszy doradca w The 21st Century Wilberforce Initiative i wykładowca na temat wolności religijnej w ramach Stypendium Wilsonów na Uniwersytecie Baylor



MÓWIĄ
O NAS:
NIEWIERNI

*Autentyczne historie chrześcijan prześladowanych
przez islamskich ekstremistów
na Bliskim Wschodzie*

MINDY BELZ



Tytuł oryginału: *They Say We Are Infidels: On the Run from ISIS with Persecuted Christians in the Middle East*

Tłumaczenie: Tomasz Teszner
Redakcja: Anna Kocot
Korekta: Tomasz Powyszyński
Rewizja: Marta Kruk
Skład: Jadwiga Malik
Konsultacja arabistyczna: Anna Nawolska

Copyright © 2016 by Mindy Belz. All rights reserved.
Cover photograph copyright © PAP/Darek Delmanowicz
Copyright for the Polish edition © 2018 by Aetos Media Sp. z o.o

Cytaty z Pisma Świętego zaczerpnięto z: Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań-Warszawa 1980.

Aetos Media Sp. z o.o.
ul. Krzywoustego 1/11
51-165 Wrocław
tel. 535-657-967
e-mail: aetos@aetos.pl
www.aetos.pl

Wrocław 2018

ISBN 978-83-61097-63-1

Mojej Mamie

.....

*Człowiek był istotą, która skonstruowała komory gazowe w Auschwitz,
a zarazem tą samą istotą, która wchodziła do owych komór z podniesioną
głową, z Modlitwą Pańską lub Szema Jisrael na ustach.*

VIKTOR FRANKL

SPIS TREŚCI

Mapa Iraku i Syrii 11

Wstęp: Okup 13

CZĘŚĆ 1: Wojna i pokój

1. Podróż Insaf 25
2. Prawo powrotu 37
3. Żadnych gwarancji 47
4. Przemienić ogień w chłodną wodę 67
5. Poprzednia wojna 87
6. Niepowtarzalna okazja 103

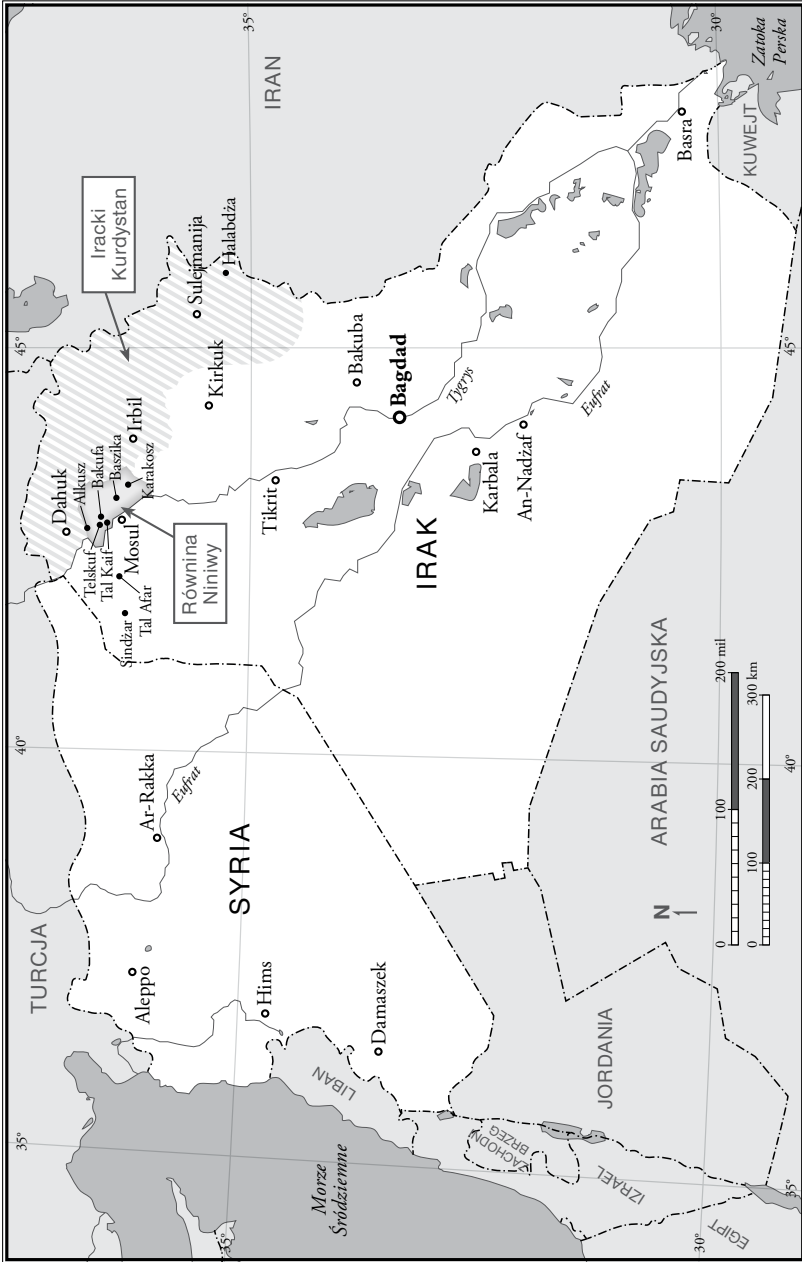
CZĘŚĆ 2: W pogoni za pokojem

7. Zaginieni 125
8. Krzyżowcy i mudżahedini 137
9. Na wygnaniu 155
10. Strażnik grobu proroka Nahuma 181
11. Wspólnota męczenników 197
12. Post i ucieczka 219

CZĘŚĆ 3: W „domu wojny”

13. Nadejście nowego kalifatu 237
14. Śmierć pewnego Amerykanina 255

15. Nowy dżihad 269
16. Spustoszenie Mosulu 291
17. Zwerbowana 311
18. Ostateczny upadek 323
19. Walcząc z ISIS 341
20. Miasta ucieczki 357
21. Ogród nocą 375
22. Podziękowania 393
23. Kalendarium 399
24. O autorce 405
25. Przypisy 407
26. Indeks 421



WSTĘP

OKUP

Odiszo Jusuf krztusił się spieczonym, przydrożnym pyłem i czuł, jak żwir kaleczy mu policzek. Straszliwie bolały go zębra w miejscu, gdzie kopnął go człowiek nazywany przez ludzi, którzy go porwali, Komendantem. Odiszo z trudem łapał oddech, spoglądając na wyniosłą postać agresora stojącego nad nim z jego dokumentem tożsamości w ręku.

Tak jak w dowodzie każdego Irakijczyka, była w nim informacja dotycząca wyznania, a Odiszo miał w stosownym miejscu wpisane: „chrześcijanin”. Komendant, ani na chwilę nie zdejmując z twarzy czarnej maski, przechadzał się tam i z powrotem w bladym świetle poranka, raz za razem przeglądając wystrzępiony dokument.

– Jesteś żydowskim agentem z Izraela! – wybuchnął nagle.

– Nie! Nie! – zaprzeczył Odiszo. – Jestem irackim chrześcijaninem.

Raz jeszcze dostał kopniaka od Komendanta, co uświadomiło mu boleśnie, w jak beznadziejnym położeniu się znalazł.

Jego uwadze nie umknęła przy tym ironia całej sytuacji. W końcu zajmował się przewożeniem pieniędzy – funduszy zbieranych przez członków Kościoła w celu opłacenia okupu za chrześcijan porwanych przez islamskich bojowników. I choć tak wiele razy pomagał innym

ofiarom, nigdy nawet nie przyszło mu do głowy, że sam może wpaść w ręce islamistów.

Wszystko to działo się w 2006 roku, czyli osiem lat przed tym, jak ugrupowanie islamskich bojowników zwane Państwem Islamskim zaczęło przeprowadzać ataki terrorystyczne w chrześcijańskim sercu Iraku. Na każdym kroku islamiści wysadzali świątynie, sklepy spożywcze i domy należące do chrześcijan. Grozili im uprowadzeniem lub straszili, że porwą im dzieci. Ich przesłanie skierowane do „niewiernych” brzmiało: „Nie macie czego szukać w Iraku. Wynoście się stąd, płaciec haracz, aby móc zostać, albo szykujcie się na śmierć”.

+ + +

Na świecie mało kto zdawał sobie sprawę ze śmiertelnego niebezpieczeństwa grożącego irackim chrześcijanom, aż do 2014 roku, kiedy to ugrupowanie występujące pod nazwą Islamskie Państwo w Iraku i Syrii (w skrócie: ISIS)¹, przeprowadziwszy błyskawiczny atak, niemal z dnia na dzień opanowało Mosul, czyli drugie co do wielkości miasto w kraju. Ten sukces organizacji zapoczątkował akty ludobójstwa: gwałty, rozstrzelania i ścięcia, jakich dopuszczali się islamscy bojownicy, siłą wypędzając z miasta tysiące chrześcijan i przedstawicieli innych mniejszości religijnych.

Jeszcze na długo przed tymi wydarzeniami Odiszo był jednym z wielu tysięcy ludzi, którzy mogliby zaświadczyć o tym, że takie przejawy brutalnej przemocy zdarzały się regularnie już od dziesięciu lat. On i jego współwyznawcy aż nazbyt dobrze znali treść ultimatum przekazanego przez ISIS chrześcijanom z Mosulu w 2014 roku: płaciec *dzizję*, nawróćcie się na islam lub szykujcie się na śmierć.

Opłacanie haraczu stało się częścią wojennej wymiany handlowej. Chrześcijanie wiedzieli, że finansują w ten sposób kolejne zamachy bombowe i akty terroru, ale nie mieli innego wyjścia – musieli płacić. Ze względu na swoje koneksje i możliwości związane z gromadzeniem funduszy oraz kierowaniem ich do rodzin w potrzebie Odiszo, niejako siłą rzeczy, stał się pośrednikiem przy przekazywaniu pieniędzy na rzecz ofiar porwań i zamachów bombowych.

„Zwalczajcie tych, którzy nie wierzą w Boga i w Dzień Ostatni [...] – spośród tych, którym została dana Księga – dopóki oni nie zapłacą daniny własną ręką i nie zostaną upokorzeni”² – mówi Koran, i dlatego dawni przywódcy Kościoła przez wieki opłacali *dżizję* zgodnie z nakazami islamskiego prawa. Płacili ją jednak także współcześni „niewierni”, jako specjalny podatek, dzięki któremu mogli publicznie odprawiać uroczystości religijne i przyjmować komunie pod postacią wina. Innymi słowy, taka była cena za życie pośród muzułmanów, w pradawnej ojczyźnie chrześcijan – w czasie wojny zaś była to cena przetrwania.

Na pierwszy rzut oka dziesiątkowanie społeczności chrześcijańskiej na Bliskim Wschodzie wydaje się kwestią odległą, która nas nie dotyczy. I choć napawa smutkiem, to wygląda na problem zbyt skomplikowany, zbyt mocno uwikłany w złożoną sytuację polityczną w regionie i po prostu za wielki, abyśmy byli dziś w stanie go rozwiązać. Dla mnie jednak ta tragedia, wobec której starałam się zachowywać dystans, z biegiem czasu stała się sprawą osobistą. Jako reporterka relacjonująca międzynarodowe wydarzenia wielokrotnie wyjeżdżałam na Bliski Wschód. I choć powinnam pozostać obiektywną obserwatorką, to wielu spośród tych „niewiernych” – zwyczajnych ludzi, starających się wychowywać dzieci i znaleźć pracę, nierzadko po tym, jak siłą wypędzono ich z domu i odebrano im wszystko, co mieli – nie jest już dla mnie jedynie „informatorami” lub bohaterami reportażu. Ci ludzie stali się moimi przyjaciółmi.

+ + +

Dla pięćdziesięcioletniego Odiszo 2 lipca rozpoczął się tak, jak każdy inny dzień. Gdy w towarzystwie swego kierowcy, będącego zresztą jego dalekim krewnym, opuszczał Dahuk – położone daleko na północy kraju miasto, w którym mieszkał – temperatura przekraczała już czterdzieści stopni. Przed południem zebrał w sumie cztery tysiące dolarów od parafii w Mosulu i okolicznych miasteczkach na Równinie Niniwy, a po południu mknął odcinkiem porządnej autostrady na południe, w kierunku Bagdadu.

W połowie pięciogodzinnej podróży zepsuł im się samochód. Kiedy kierowca poszedł szukać pomocy, Odiszo – żyłasty, ciemnowłosy mężczyzna w przeciwsłonecznych okularach – przechadzał się tam i z powrotem z papierosem w ustach, grzebiąc czubkiem czarnego, skózanego buta w przydrożnym pyłe.

Kilka minut później zatrzymał się obok niego czarny opel, z którego wyszło czterech mężczyzn w czarnych maskach. Nim Odiszo zdążył zareagować, przybysze wyciągnęli zza pasów pistolety i go otoczyli. Zaczęli krzyczeć i wymachiwać bronią, usiłując wepchnąć go na tylne siedzenie swego samochodu, lecz Odiszo nie zamierzał ich słuchać i z wolna próbował się wycofać. Wtedy jeden z bandytów postrzelił go w nogę. Kula musnęła ciało i Odiszo, krwawiąc, opadł na fotel swojego auta. Porywacze schwytali jeszcze kierowcę, a później wepchnęli obu mężczyzn, skulonych twarzą do podłogi, na tył własnego wozu. Jeden z bandytów zajął miejsce pomiędzy nimi.

Samochód zjechał z autostrady i pomknął dokądś na pustynię. Odiszo nie widział wprawdzie, dokąd jada, ale zgadywał, że kierują się w stronę Bakuby, miasta leżącego ponad sześćdziesiąt kilometrów na północ od Bagdadu i aż kipiącego od aktów przemocy. Miesiąc wcześniej nieopodal tej miejscowości oddziały amerykańskie zabiły Abu Musaba az-Zarkawiego, przywódcę Al-Ka'idy w Iraku, obszar ten pozostał jednak siedliskiem terroryzmu.

– Obserwowaliśmy was już od chwili, kiedy wyjechaliście z Kirkuku – powiedział jeden z porywaczy.

Odiszo w ogóle nie przejeżdżał przez to miasto. „Być może ludzie, którzy ich porwali, należą do jakiegoś gangu lub są zwykłymi bandytami, a nie wyszkolonymi bojownikami Al-Ka'idy” – pomyślał. Przypuszczał, że chcą zdobyć pieniądze lub sławę, przekazując swych zakładników tej organizacji terrorystycznej.

Wciśnięty niemal pod siedzenie na podłodze samochodu, tuż obok uzbrojonego bandyty, Odiszo czuł, jak ogarnia go przerażenie. Uświadomił sobie, że jako znany członek Patriotycznej Partii Asyrii, mający jawny dostęp do pieniędzy, jest zakładnikiem porwanym dla okupu. Kiedy pomyślał, jak ogromnym ciężarem dla innych stanie się jego uprowadzenie, owładnął nim paniczny lęk, który przyprawił

go o mdłości. Na samą myśl o zranionej nodze zaczął się trząść na całym ciele. W dodatku nic a nic nie widział. Słyszał tylko skrzypienie kół, kręcących się tuż poniżej jego głowy, i czuł wciskającą mu się w skroń zimną lufę pistoletu.

Odgłos jazdy po asfalcie przeszedł z czasem w dźwięk opon sujących po żwirze. Zmierzchało się, gdy samochód raz jeszcze skręcił i wreszcie się zatrzymał. Kiedy wyciągnięto go z wozu, Odiszo wstał i rozejrzał się dokoła. Po obu stronach bitej drogi stały wielkie zbiorniki paliwa, stary sprzęt i kilka zniszczonych pojazdów wojskowych. „To jakiś opuszczony magazyn wojskowy” – myślał Odiszo, podczas gdy porywacze zaczęli wznosić prowizoryczny szałas z arkuszy blachy falistej i innego złomu. Daleko, na wschodzie zdołał jeszcze dojrzeć zarys gór Dżabal Hamrin – tak jak przypuszczał, znajdowali się niedaleko Bakuby.

Odiszo położył się na gołej ziemi, ale nie mógł zasnąć. Gdy po upalnym dniu powietrze zrobiło się rześkie, poczuł na skórze zimne krople potu. Wstrząsnął nim dreszcz. Wstał, przeszedł się nieco, usiadł na chwilę, po czym znów się podniósł i zrobił kilka kroków. Kiedy pomyślał o pozostawionej w domu żonie i dwóch synach, musiał siłą woli powstrzymywać łzy. Jego kierowca drzemał, lecz bandyci cały czas mieli ich na oku.

Tuż przed świtem przyjechał Komendant i zaczął przesłuchiwać Odiszo. Obrzuciwszy jeńca oskarżeniami, oddalił się wściekły, wraz z całym dobytkiem porwanego, którego pozostawił leżącego w przydrożnym pyle. Odiszo pozbierał się jakoś i opanował, nie próbował jednak wstawać i czekał na rozwój wypadków. Mijały godziny. Komendant rozmawiał przez telefon komórkowy i po arabsku rozprawił z bandytami o losie dwójki zakładników. W tym czasie Odiszo i jego kierowca rozmawiali ze sobą półgłosem w języku syryjskim. Ten pradawny język – dialekt aramejskiego, którym posługiwał się Jezus Chrystus – wciąż bowiem jest używany przez asyryjskich chrześcijan z Iraku.

Kiedy wstał dzień, Komendant powiedział Odiszo, że kwotę okupu za niego ustalono na trzysta tysięcy dolarów. Była to gigantyczna

suma, wielokrotnie przewyższająca żądania wysuwane zazwyczaj przez porywaczy. Odiszo potrząsnął tylko głową.

– Zabijcie mnie – powiedział do Komendanta. – Tak będzie lepiej.

+ + +

Właśnie wtedy, kiedy Odiszo czekał na dalszy rozwój wypadków w opuszczonym magazynie wojskowym gdzieś na pustyni, tworzył się załazek ISIS, będący początkowo odłamem Al-Ka'idy. W 2006 roku tak zwane Islamskie Państwo w Iraku zapowiedziało, że zatknie w tym kraju „sztandar islamu”, podczas gdy Zachód, jak zahipnotyzowany, całą swoją uwagę poświęcał tamtejszym wyborom i kiełkującej irackiej demokracji.

W tym samym roku pewien asyryjski duchowny z Iraku przekazał mi szczegółową listę chrześcijan zabitych lub porwanych w ciągu trzech lat, które upłynęły od początku amerykańskiej inwazji. Wykaz ten liczył sobie aż dwadzieścia cztery strony i wyszczególniał ataki przeprowadzane na uniwersytetach przy użyciu samochodów pułapek oraz przypadki selektywnej eliminacji w sklepach z kosmetykami lub przed drzwiami prywatnych domów. Chrześcijan zabijano za to, że wstępowali do partii politycznych mających powiązania z ich religią, za to, że byli spokrewnieni z duchownymi, albo za to, że mieli swoje fabryki lub firmy i odmawiali płacenia islamskim bojownikom *dżizji*, czyli – w praktyce – haraczu. Wielu spośród porwanych znajdywano później martwych.

Do tego czasu około sześciu tysięcy irackich chrześcijan uciekło z Bagdadu i innych dużych miast, kierując się na północ w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia. Wspomniane groźby i akty przemocy powinny były stać się ostrzeżeniem przed mającym dopiero nadejść terrorem na wielką skalę, lecz po trzech latach wojny mało kto zwracał uwagę na los miejscowych chrześcijan.

Nawet wtedy, gdy przywódcy zachodnich państw dojrzeli już oznaki zagrożenia, wcale nie kwapili się, aby zapobiec tragedii. Szczególnie zaś władze Stanów Zjednoczonych Ameryki, poczynając od ekipy George'a W. Busha aż po prezydenturę Baracka Obamy, woleli

przehandlować amerykańską spuściznę – tradycję stawania w obrobie zagrożonych zagładą mniejszości, takich jak ocaleni z Holokaustu, rosyjscy zielonoświątkowcy, mieszkańcy Rwandy i Konga oraz wiele innych – za jakieś mgliste korzyści polityczne, które zresztą nigdy nie przybrały realnych kształtów. Mówiąc inaczej, amerykańscy przywódcy poświęcili życie ludzi będących celem sekciarskich bojówek w zamian za rzekome korzyści, mające wynikać z tego, że ich kraj będzie w oczach Irakijczyków uchodzić za niezwiązany z żadną konkretną religią.

Jak się zdaje, ta niechęć zachodnich rządów do interweniowania na rzecz chrześcijan wynikała po części z pewnego tragicznego nieporozumienia. Niewielu dyplomatów lub dowódców wojskowych właściwie pojmowało wyjątkową historię chrześcijaństwa w Iraku. Większość zakładała, że jest ono pozostałością brytyjskiego imperium kolonialnego bądź wymysłem amerykańskich ewangelików.

Tymczasem prowincja Niniwa była siedzibą asyryjskiego Kościoła Wschodu, którego początki sięgają czasów Zesłania Ducha Świętego, kiedy to – jak mówi Pismo Święte – „mieszkańcy Mezopotamii” otrzymali Ducha Świętego³. Ziarna wiary chrześcijańskiej rozsiewał na terenie Iraku między innymi apostoł Tomasz, a powstały tam Kościół okazał się na tyle prężny i gorliwy, że wysłał aż dwóch przedstawicieli na pierwszy sobór nicejski w 325 roku.

Gdy rozpętał się terror wymierzony w chrześcijan w Niniwie i stolicy prowincji, Mosulu, ta historia poszła już jednak w zapomnienie. Wkrótce po tym, jak Stany Zjednoczone obaliły reżym Saddama Husajna w 2003 roku, w jeden z klasztorów Mosulu uderzył pocisk. Celem ataku stały się chrześcijańskie szkoły, a także należące do wyznawców tej religii przedsiębiorstwa i zakłady, zwłaszcza salony piękności, sklepy muzyczne, alkoholowe oraz odzieżowe. W sierpniu 2004 roku islamscy bojownicy podłożyli bomby w pięciu kościołach w Mosulu i Bagdadzie. W wyniku tych skoordynowanych zamachów, przeprowadzonych w niedzielny wieczór, gdy we wszystkich tych świątyniach odprawiano nabożeństwa, zginęło dwanaście osób, a około sześćdziesięciu zostało rannych.

Kiedy tysiące irackich chrześcijan uciekały z Iraku po wspomnianych zamachach w kościołach, pewien diakon skarżył się, że na wypełnianie niezbędnej do uzyskania zgody na emigrację metryki chrztu jego parafianie muszą poświęcić więcej czasu, niż mają go na modlitwę.

– A w tym czasie nasza wspólnota nadal jest dziesiątkowana – dodał⁴.

Wobec braku wsparcia i ochrony do 2011 roku z Iraku uciekło blisko dwie trzecie chrześcijan, którzy żyli tam jeszcze osiem lat wcześniej. Gdy w tym samym 2011 roku w Syrii wybuchła wojna domowa, wachlarz skierowanych przeciw chrześcijanom aktów przemocy jeszcze się poszerzył. Bojownicy islamscy z Iraku przekroczyli granicę, by przyłączyć się do walki przeciwko syryjskiemu prezydentowi Baszarowi al-Asadowi. Już na samym początku tego konfliktu zabili ponad dwustu chrześcijan (w tym całe rodziny z dziećmi) zamieszkujących w prastarym mieście Homs. Doszło tam również do uprowadzeń wyznawców tej religii, a porywacze domagali się okupu w wysokości podobnej do tej, jakiej zażądano za Odiszo Justufa.

Bojówkarze wcale nie kryli się z zamiarem utworzenia sunnickiego kalifatu, mającego rozciągać się od Morza Śródziemnego aż po granicę Iranu, a może jeszcze dalej. Ponieważ nikt im w tym nie przeszkadzał, zaczęli stopniowo przedostawać się z powrotem na terytorium Iraku, by dokończyć dzieła.

Tymczasem w 2011 roku, gdy groźby wobec ludności niemuzułmańskiej przybierały właśnie na sile, amerykańska armia powróciła do domu. Przywódcy irackiego Kościoła powiedzieli mi, że do 2014 roku liczba chrześcijan w kraju zmalała do około dwustu pięćdziesięciu tysięcy wiernych, co stanowiło zaledwie ułamek licznej wspólnoty, jaką tworzyli wyznawcy tej religii, zanim Stany Zjednoczone Ameryki „wyzwoliły” Irak. W lipcu 2014 roku prezydent Barack Obama mianował specjalnego przedstawiciela USA do spraw współpracy w rejonie Arktyki, ignorując zarazem prośby o wyznaczenie wysłannika mającego monitorować i chronić mniejszości religijne na Bliskim Wschodzie⁵.

Perspektywa unicestwienia chrześcijaństwa w Iraku skłoniła islamskich dżihadystów do rozpoczęcia działań na skalę globalną i realizacji podobnych celów w Nigerii, Mali i innych odległych zakątkach globu, takich jak Indonezja. Jak to ujął jeden z czołowych dziennikarzy:

„Najbardziej przemilczanym przez media zjawiskiem naszych czasów są nieustanne ataki islamskich terrorystów wymierzone przeciwko chrześcijanom”⁶.

Jako reporterka, zaczęłam relacjonować międzynarodowe wydarzenia dla magazynu „World” pod koniec zimnej wojny, a w ciągu ostatniej dekady XX wieku obserwowałam, jak islamski ekstremizm stopniowo zajmuje miejsce komunizmu w roli głównego zagrożenia dla świata Zachodu. Będąc w Sudanie, przejeżdżałam niedaleko obozu szkoleniowego Osamy bin Ladena i na własne oczy widziałam spustoszenia, jakich dokonywał terroryzm islamski skierowany przeciwko społeczności chrześcijańskiej południowej części kraju.

Dla wielu reporterów takich jak ja wraz z zamachami z 11 września 2001 roku wszystko uległo zmianie. Odtąd zajmowałam się bez przerwy wydarzeniami na Bliskim Wschodzie, by już niebawem przekonać się, że za ogłoszoną przez bin Ladena „wojną przeciwko Ameryce” kryje się nieprzerwana napaść na chrześcijan, dokonywana wszędzie tam, gdzie tylko znajdują się wyznawcy tej religii. W czasie podróży do Damaszku w 2002 roku odkryłam, że Sudan potajemnie przetrzuca chrześcijan ze swojego kraju do Syrii, gdzie są torturowani i zmuszani do przechodzenia na islam. Nawet w Egipcie, posiadającym najliczniejszą wspólnotę chrześcijańską ze wszystkich bliskowschodnich państw, na wyznawców tej religii wywierano coraz większą presję, by porzucali swą wiarę lub uciekali z kraju.

Nie pojechałam do Iraku po to, by szukać chrześcijan. Po prostu natknęłam się na nich, kiedy się tam udałam, aby relacjonować wojnę prowadzoną przez wojska koalicyjne pod wodzą Stanów Zjednoczonych. Żywotność tamtejszej wspólnoty chrześcijańskiej sprawiła jednak, że zaangażowałam się w jej sprawy, a przemilczany na ogół przez media los tych ludzi kazał mi raz za razem powracać na Bliski Wschód.

CZEŚĆ PIERWSZA

WOJNA
I POKÓJ

ROZDZIAŁ 1
PODRÓŻ INSAF

Amman, 2003 rok

.....
*Twoje ustawy stały się dla mnie pieśniami
na miejscu mego pielgrzymowania¹.*

Ps 119:54

Insaf Safu miała do rozdania dziesięć tysięcy dolarów amerykańskich. Pieniądze były odliczone w banknotach dziesięcio-, dwudziesto- oraz pięćdziesięciodolarowych i powkładane do kilkudziesięciu białych kopert. Na każdej z nich widniało, wypisane miękkim ołówkiem, nazwisko jakiejś rodziny w Iraku. Niektóre nazwiska napisane były po arabsku, a inne – po angielsku. Żadne z nich nic mi nie mówiło.

– To ile pieniędzy przeniesiesz dla mnie przez odprawę celną? – spytała Insaf.

Poznałyśmy się może przed minutą, a teraz siedziałyśmy na tylnym siedzeniu należącego do naszej wspólnej znajomej dwudrzwiowego samochodu typu sedan, wtłoczone pomiędzy sięgającą naszych ramion górę bagaży. Pod naszymi nogami również upchnięto jakieś walizki i torby. Po jednej nocy spędzonej przeze mnie w Ammanie nasza wspólna znajoma, Amerykanka mieszkająca wraz z rodziną w Jordanii, zabrała nas kolejno z rogów dwóch różnych ulic. Arabscy kierowcy mijali nas teraz pospiesznie, trąbiąc klaksonami. Zmierzałyśmy właśnie do znajdującego się na skraju miasta Międzynarodowego Portu Lotniczego imienia Królowej Alii, by stamtąd wyruszyć w dalszą podróż do Bagdadu, stolicy ojczystego kraju Insaf.

Pytanie, które Insaf mi zadała, wciąż ciężko wisało w powietrzu gdzieś pomiędzy nami, ona sama zaś wpatrywała się we mnie bez mrugnięcia okiem. Nie mogłam sobie przypomnieć, czy zdarzyło mi się kiedyś spotkać Arabkę z Iraku, która byłaby chrześcijanką; nawet jeśli – to z pewnością nie tak śmiała. Okrągła twarz i wystające kości policzkowe Insaf sprawiały, że wydawała się przyjazna i serdeczna, lecz jej ciemne oczy błyszczały wyzywająco.

Białe koperty leżały przede mną, rozłożone w wachlarz niczym królewski sekwens, i już zaczynałam się zastanawiać, w co tak właściwie się wpakowałam. Bąknęłam coś w odpowiedzi, po czym spojrzałam ponownie na jej twarz, jeszcze przed chwilą skupioną i pełną napięcia, jakie potrafi nadać ludzkim rysom przekonanie, że działa się w słusznej sprawie. Teraz jednak ta maska zdawała się pękać niczym ciśnięte o podłogę szkło. Insaf roześmiała się.

– Wciąż tylko myślę o obowiązkach zamiast o przyjemnościach i zapominam, że najpierw musimy się zaprzyjaźnić.

Był grudzień 2003 roku. Dziewięć lat wcześniej Insaf, wraz z mężem i dwójką małych dzieci, wyjechała z Iraku. Podobnie jak wielu Irakijczyków, których pod rządami Saddama Husajna spotykały pogroźki, skierowali się do Jordanii, a stamtąd – do Turcji. Spędziwszy siedem lat jako uchodźcy w Stambule, wyemigrowali w końcu do Kanady.

Kiedy poznałam Insaf, Irak był już wyzwolony spod władzy Saddama Husajna, a ona wracała właśnie do Bagdadu, po raz pierwszy od chwili, gdy opuściła kraj. Wręczyła mi cienki notes z okładką w kwiatki, wyjęty z czerwonej walizeczki na kółkach, którą trzymała pod nogami. W środku znajdowały się starannie wykaligrafowane nazwiska irackich rodzin, które miały otrzymać pewną część przewożonych przez nią pieniędzy, a obok stosowne kwoty. Insaf zostawiła też na liście miejsce na podpis każdego z odbiorców, aby po powrocie do Kanady móc pokazać darczyńcom, że ich pieniądze dotarły do adresatów, a ich odbiór został należycie pokwitowany.

Pieniądze pochodziły od chrześcijan, którzy wyemigrowali z Iraku: od rodzin wyznania protestanckiego, prawosławnego i katolickiego, mających swe korzenie w całym tym kraju, poczynając od wyżyn

górną część doliny Eufratu, poprzez Równinę Niniwy, aż po leżącą na południu pustynię.

Zanim spotkałam się z Insaf w Ammanie, jeden jedyny raz rozmawialiśmy ze sobą przez telefon. Był to swego rodzaju wywiad, w czasie którego chciałam się przekonać, czy moja rozmówczyni pozwoli, aby w tym powrocie do ojczyzny towarzyszyła jej zagraniczna reporterka. Dowiedziałam się wówczas, że Insaf urodziła się w katolickiej rodzinie z miasta Kirkuk, jako młoda kobieta zaczęła jednak uczęszczać do tamtejszego kościoła ewangelickiego – prowadzonej przez Irakijczyków wspólnoty, którą w 1941 roku założyli szkoccy misjonarze presbiteriańscy; uważała się więc za nawróconą ewangeliczkę.

Wertowałam właśnie jej notesik w kwiatki i byłam pod coraz większym wrażeniem. Nasza znajomość trwała może dziesięć minut, które zajęła nam droga na lotnisko, a ja już zgodziłam się przemycić dla niej przez odprawę celną kilka kopert z pieniędzmi. Złożyłam je więc i wsadziłam do dolnej zapinanej na guzik kieszeni moich bojówek, zastanawiając się przy tym, czy czasem nie nazbyt pochopnie uwierzyłam w powodzenie przedsięwzięcia tej drobnej, lecz stanowczej Irakijki.

Insaf była kobietą uginającą się pod brzemieniem trosk tego świata, lecz zarazem od nich wolną. Ciężar codzienności widoczny był choćby w jej opadających ramionach i na bladej, pooranej zmarszczkami twarzy. Miała czterdzieści pięć lat, a dwa ostatnie, spędzone na Zachodzie, nie zdołały zatrzeć fizycznych śladów jej dawnego życia pod rządami Saddama Husajna. W jej ojczyźnie trwała wojna, dyktator i jego zwolennicy wciąż jeszcze gdzieś się ukrywali, a Insaf właściwie sama nie wiedziała, co ją czeka po przybyciu do Bagdadu. Czy uda się odnaleźć wszystkich członków jej licznej rodziny, przyjaciół, sąsiadów? W jakim stanie będą znajome ulice w jej dzielnicy? Kiedy jednak mówiła, emanowała pewnością siebie, a w jej oczach pojawiał się błysk ożywienia. Raz za razem omiatała mnie buntowniczym spojrzeniem, pełnym pasji godnej wolnego ducha albo młodej dziewczyny.

Insaf była emigrantką, która niezliczoną liczbę razy wraz z mężem i dwójką dzieci musiała od nowa urządzać sobie dom w czterech różnych krajach. Jej tradycyjne wychowanie obejmowało również uczęszczanie do katolickich szkół mieszczących się w klasztorach z X wieku.

Zaznała w swym życiu zarówno biedy, jak i bogactwa; wiedziała, jak to jest obudzić się na dźwięk pocisku, wbijającego się właśnie w kuchenną ścianę twojego domu, a podczas swojej tułaczki i pobytów za granicą poznała aż cztery języki.

Ja natomiast spędziłam całe życie w Stanach Zjednoczonych Ameryki, mieszkając w dwóch różnych stanach na Wschodnim Wybrzeżu, niedaleko miejsca, gdzie w XVII wieku na amerykańskiej ziemi wylądowali moi przodkowie. Miałam za sobą wspaniałe dzieciństwo, w którym kościół oznaczał tylko ceglany budynek z białymi iglicami wież, a echa Bliskiego Wschodu pojawiały się jedynie pod postacią grubego płótna i sianka służących do przygotowania corocznej szopki i żłóbka dla małego Jezuska. Aby się ze sobą zaprzyjaźnić, ja i Insaf musiałyśmy teraz wspólnie pokonać dzielące nas przepaści, szersze niż ocean, który przemierzyłyśmy w drodze na Bliski Wschód.

Choć widziałam już, jak wygląda wojna (byłam wcześniej w Bośni i w Sudanie), i odbyłam jedną podróż do Iraku jeszcze przed amerykańską inwazją, również nie bardzo wiedziałam, czego się spodziewać. Ponieważ pracowałam dla niewielkiego, niezależnego czasopisma, jakim był magazyn „World”, nie mogłam liczyć na to, że w Bagdadzie czekać będzie na mnie biuro redakcji albo wynajęty specjalnie dla mnie tłumacz lub ochroniarz. Tak jak większość dziennikarzy, miałam spędzić kilka dni nieomal jako więzień w jednej z amerykańskich baz wojskowych, na północ od Bagdadu, obserwując przebieg działań wojennych z perspektywy naszych żołnierzy. W szpitalu wojskowym przyszło mi na własne oczy oglądać harówkę Amerykanów, pracujących bez wytchnienia, dzień i noc. Patrzyłam też, jak helikoptery nieustannie dowożą rannych, w tym pewnego osiemnastoletniego żołnierza piechoty morskiej z twarzą doszczętnie zmasakrowaną w wyniku eksplozji ładunku wybuchowego domowej roboty. Niejeden raz widziałam, jak lekarze i pielęgniarki, bez względu na porę, zrywają się ze swoich prycz i pędzą na salę operacyjną, aby opatrywać rany, jakie niosła ze sobą ta wojna.

Insaf też miała swoje zadanie bojowe, a ja wyruszyłam w tę podróż wraz z nią, aby być świadkiem jej powrotu do ojczyzny i spotkania z rodziną; do wielu takich zdarzeń doszło w ciągu pierwszych kilku

miesiący po obaleniu reżymu Saddama Husajna, gdy wygnani niegdyś z kraju Irakijczycy wracali do swoich domów. Z czasem zaczęłam patrzeć z perspektywy mojej towarzyszkii na to, jak amerykańska inwazja odmieniła jej prastarą ojczyznę, i przyglądać się życiu Irakijczyków poza strefą chronioną przez koalicyjnych żołnierzy – tam, gdzie zwyczajni ludzie mieli na co dzień do czynienia z wojną. Przekraczając jednakże granicę z pieniędzmi Insaf w kieszeni, stałam się w pewnym sensie także jej współniczką. Miałyśmy razem udać się w tę podróż, aby zobaczyć, jak bardzo zmienił się jej ojczysty kraj, i przekonać się, jak wysoką cenę płaci się za takie powroty.

+ + +

Po dotarciu na lotnisko wsiadłyśmy na pokład niewielkiego samolotu typu Beechcraft, który miał przerzucić nas do Bagdadu. Kapitan Chris Erasmus i drugi pilot Rudolph Van Eeden, w oczekiwaniu na pozwolenie na start, sączyli mocną kawę z pękatych, tekturowych kubków. Grudniowe ranki w Ammanie spowija chłodna i ponura mgła, lecz Erasmus martwił się nie tyle o pogodę, ile raczej o to, czy władze wojskowe wydadzą zgodę na nasz lot. Jego dwusilnikowy turbośmigłowiec odbył już doprawdy wiele lotów w strefach ogarniętych wojną, ale teraz, po blisko dziewięć miesięcy trwania koalicyjnej inwazji pod wodzą Stanów Zjednoczonych Ameryki, latanie do stolicy Iraku stało się niezwykle ryzykowne.

W listopadzie Erasmus i Van Eeden zaczęli pilotować rejsy z pomocą humanitarną dla Bagdadu. Zatrudniający ich przewoźnik, organizacja Air Serv International, powstała w latach osiemdziesiątych XX wieku właśnie z myślą o tego rodzaju zadaniach. Za każdym razem przed startem piloci musieli czekać, aż kontrolerzy ruchu lotniczego, pełniący służbę w oddalonej o tysiąc sześćset kilometrów amerykańskiej bazie powietrznej w mieście Doha, stolicy Kataru, przydzielą im określony przedział czasu na lądowanie. Oznaczało to, że mogą wejść w przestrzeń powietrzną Iraku, licząc na jakąś ochronę ze strony amerykańskich sił zbrojnych.

Od tygodnia uzyskanie takiego przydziału było jeszcze trudniejsze, po tym, jak wystrzelony przez bojówkarzy, przenośny pocisk typu ziemia–powietrze trafił w startujący właśnie samolot transportowy przedsiębiorstwa DHL Aviation, zmuszając go do awaryjnego lądowania, z jednym skrzydłem w płomieniach.

Od tamtej pory samoloty musiały każdego dnia unikać podobnych ataków, przeprowadzanych z okolicy otwartego niedawno na nowo międzynarodowego portu lotniczego w Bagdadzie. Komercyjne linie lotnicze zawiesiły połączenia pasażerskie ze stolicą Iraku. Amerykańskie dowództwo naczelne położyło łapę na dostępnych przedziałach czasowych na start lub lądowanie, rezerwując iracką przestrzeń powietrzną dla lotnictwa wojskowego. Cywilom pozostały jedynie rejsy z pomocą humanitarną, obsługiwane przez organizację Air Serv International. Kiedy tak czekaliśmy, dmuchając na gorącą kawę, nasi piloci wyjaśnili mi, że jeśli dostaje się teraz od kontrolerów z Doha takie pozwolenie na wejście w przestrzeń powietrzną Iraku, to przychodzi ono z zastrzeżeniem następującej treści: „Lecicie na własne ryzyko”.

– Mówiąc inaczej, oznacza to tyle, co: „mogą was zestrzelić” – powiedział Erasmus.

– „I jeśli tak się stanie, nie przychodźcie z pretensjami do amerykańskiej armii” – dodał Van Eeden.

W maju Air Serv International przrzucało do Iraku trzysta osób miesięcznie. Nim nastał listopad, listy pasażerów wykazywały do tysiąca ludzi w miesiącu, więc organizacja wprowadziła do akcji jeszcze jeden samolot typu Beech 1900D, z dwiętnastoma miejscami, pilotowany właśnie przez Erasmusa i Van Eedena. Popyt utrzymywał się na wysokim poziomie, ponieważ podróżowanie samochodem – początkowo uznawane tylko za niebezpieczne – z czasem po prostu przestało w ogóle wchodzić w grę. Droga z Ammanu do Bagdadu stała się istną strzelnicą bojówkarzy, zwłaszcza gdy udało im się przydybać na niej przybyszów z Zachodu. Jednak ani Erasmus, ani Van Eeden nie wydawali się zaniepokojeni czy zmartwieni całą tą sytuacją. Latali już nad strefami działań wojennych w czasie innych konfliktów, ostatnio na przykład w Afganistanie.

– Strzelali do was kiedyś? – spytałam.

– Nie wiemy, bo nigdy nas nie trafili – odparł z uśmiechem Erasmus.

+ + +

Wielu Amerykanów, którzy oglądali na ekranach swoich telewizorów, jak żołnierze piechoty morskiej Stanów Zjednoczonych obalali pomnik Saddama Husajna na bagdadzkim placu Firdos, spodziewało się, że ich armia lada moment powróci do kraju. W Iraku nastały wówczas rządy Tymczasowych Władz Koalicyjnych, pod kierunkiem Paula Bremera. Władze te odpowiedziały na apel prezydenta George'a W. Busha wzywający do nadzorowania dokonującej się pod wodzą Stanów Zjednoczonych Ameryki „globalnej rewolucji demokratycznej” na Bliskim Wschodzie. Było to niecierpiące zwłoki zadanie, przypominające pod tym względem obronę Grecji w 1947 roku lub zapoczątkowany rok później most powietrzny nad Berlinem.

Kiedy w grudniu 2003 roku wybierałam się do Iraku, kraj ten pogrążony był w chaosie. Saddam i jego synowie nadal przebywali na wolności, wraz z większością pozbawionych praw obywatelskich funkcjonariuszy Partii Socjalistycznego Odrodzenia Arabskiego (BAAS), i wciąż wymykali się siłom koalicyjnym, lecz jak dotąd nie udało się sformować rządu z prawdziwego zdarzenia, który mógłby zająć ich miejsce. Ulicami Bagdadu płynęły nieczystości. Drogi, usiane lejami po amerykańskich bombardowaniach z okresu inwazji, pozostawały nieprzejezdne. Nieustannie występowały problemy z elektrycznością, a w niektórych miejscach brakowało bieżącej wody.

Amerykanie od samego początku nie brali pod uwagę tego, że Irakijczycy mają już serdecznie dosyć wojny. Bremer i inni jemu podobni dygnitarze przyjeżdżali do Bagdadu pełni energii i ufni w to, że uda im się urzeczywistnić w tym kraju pewne abstrakcyjne idee dotyczące demokracji i wolności. Mieli mnóstwo zapału i wiary we własne umiejętności z dziedziny inżynierii politycznej. Wypędzeni z kraju za czasów reżymu Saddama Husajna iraccy politycy, którzy spędzili całe dziesięciolecia w Londynie bądź w Waszyngtonie, myśleli teraz

podobnie. Tymczasem ich mieszkający wciąż w ojczyźnie rodacy w ciągu minionej dekady musieli jakoś przetrwać dwie wojny, nie wspominając już o codziennych zmaganiach, jakie niesło z sobą życie pod rządami dyktatora. Byli gotowi na zmiany, lecz Saddam mimo wszystko przyzwyczaił ich do pewnego porządku, a nie do chaosu, jaki zapanaował w ich kraju po amerykańskiej inwazji.

Podczas gdy Amerykanie usiłowali dopiero zrozumieć i opanować sytuację w Iraku, dżihadyści wkroczyli na scenę z gotowym planem działania. Przybywali z Arabii Saudyjskiej, Jemenu, Syrii i Jordanii, aby walczyć z obcym okupantem. Niektóre ugrupowania islamskich bojówkarzy oferowały po trzy tysiące dolarów za każdego zabitego żołnierza amerykańskiego. Liczba ofiar ponoszonych przez koalicję wynosiła od trzydziestu do pięćdziesięciu osób miesięcznie, po czym w listopadzie nagle wzrosła do stu dziesięciu. Na ulicach mówiło się, że to Saddam osobiście kieruje zbrojnym oporem przeciwko najeźdźcom z Zachodu, przebrany czasem za taksówkarza, to znowu za nomada, a nawet za kobietę.

+ + +

Patrząc z lotu ptaka, widzieliśmy w samo południe padające na ziemię, długie promienie słonecznego światła. Zmierzałyśmy na wschód, od kredowobiałych wzgórz Ammanu w kierunku położonego na równinie, pośrodku pustyni i spalonego słońcem miasta Bagdad. Trasa naszego lotu przebiegała nad ciągnącą się na dystansie blisko tysiąca kilometrów pustynią. Insaf zajęła się rozmową z dwoma pracownikami organizacji humanitarnych z Niemiec, których skierowano do Iraku, aby nauczyci miejscowych logistyki związanej z przeprowadzeniem wyborów. Obok mnie siedział natomiast urzędnik konsularny z naszego Departamentu Stanu, przeniesiony właśnie z Kairu do niedawno otwartej na powrót ambasady amerykańskiej w Bagdadzie.

Spytałam go o to, co było dla niego najtrudniejsze w służbie w Iraku.

– Praca w całodobowym biurze ambasady – odparł – i odbieranie późną nocą telefonów od Amerykanek, które powychodziły za Arabów, a teraz chcą się stąd wydostać.

Potem poprosił mnie, żebym – kiedy już zainstaluję się na miejscu – odwiedziła go w jego biurze, mieszczącym się w chronionej przez żołnierzy zielonej strefie.

W kabinie samolotu panowały spartańskie warunki, a jedynym dostępnym trunkiem była butelkowana woda z turystycznej lodówki. Mimo to trwała ożywiona konwersacja, obfitująca w tego rodzaju wątki i tematy, na których urzeczywistnienie w „nowym Iraku” wszyscy mieliśmy nadzieję. Pośród dziewiętnastu znajdujących się na pokładzie pasażerów byli wspomniani przedstawiciele organizacji humanitarnych z Niemiec, egipski pastor, amerykańska nauczycielka mieszkająca w Jordanii, pracownicy organizacji pomocowych ze Szwecji oraz kilku amerykańskich dyplomatów w nienaganych garniturach.

Przelatywaliśmy nad granicą jordańsko-iracką, która wyglądała tak, jakby ktoś wyrysował grubą kreskę na piasku pustyni. Z pokładu samolotu doskonale widoczne były graniczne posterunki, a światło słoneczne połyskiwało na zwojach ostrego jak brzytwa drutu kolczastego wyznaczającego linię ciągnącą się z północy na południe. Zbliżając się do Eufratu, ujrzeliśmy szerokie kanały irygacyjne, wykopane jeszcze przez Babilończyków. Biegące przez jałową pustynię drogi gruntowe przechodziły stopniowo w asfaltowe szosy, a następnie – w autostrady. W pustynnym krajobrazie zaczęło pojawiać się coraz więcej daktylowych gajów i otoczonych murem gospodarstw z domami o płaskich dachach, aż wreszcie naszym oczom ukazało się samo miasto. Na wysokości trzech tysięcy metrów Erasmus odchylił drążek sterowy w lewo, rozpoczynając schodzenie do lądowania zgodnie z instrukcjami, jakie otrzymaliśmy w Ammanie.

Znajdując się jeszcze wysoko nad międzynarodowym portem lotniczym w Bagdadzie, nasz pilot wprowadził maszynę w szalony korkociąg, sprawiając, że żołądki podeszły nam do gardeł. Wykonując szereg koncentrycznych kręgow, samolot gwałtownie obniżył pułap, po czym zakończył manewr, pikując wprost na pas do lądowania,

aby uniknąć pocisków termolokacyjnych. Podczas tych powietrznych ewolucji przelataliśmy nad pałacami prezydenckimi irackiej stolicy. Zajmowały one ogromny teren, a każdy z nich przypominał rozległą oazę na pustyni. Pałac Al-Faw, położony najbliżej lotniska i otoczony wodą o barwie turkus, zbudowany został przez Saddama Husajna po wojnie iracko-irańskiej; miał sześćdziesiąt dwie komnaty i aż dwadzieścia dziewięć łazienek. Potem przed naszymi oczyma pojawił się, zajęty już przez naszą armię, sześciopiętrowy As-Salam (Pałac Pokoju), z widocznymi wciąż uszkodzeniami pozostałymi po amerykańskich bombardowaniach w ramach operacji „Szok i groza”. Dzięki podziemnym tunelom rezydencja ta posiadała połączenie z pozostałymi pałacami, gmachami rządowymi w centrum stolicy, a także z lotniskiem. Zatoczywszy jeszcze jedno koło, znaleźliśmy się nad Pałacem Republikańskim, gdzie mieściła się główna kwatery amerykańskiej armii i ustanowionych przez Stany Zjednoczone Tymczasowych Władz Koalicyjnych. Ten ogromny kompleks ciągnął się aż do samego miasta. W okresie swoich rządów w Iraku Saddam zbudował ponoć osiemdziesiąt jeden pałaców, a teraz prawie wszystkie zajęła amerykańska armia, lokując w nich ośrodki dowodzenia różnego szczebla. We wnętrzach prezydenckich rezydencji wzniesiono koszarowe baraki, a w ciasnych boksach z płyty wiórowej urządzono rozmaite biura, prowadząc kable internetowe i telefoniczne po wzorzystych, marmurowych posadzkach.

Patrząc z lotu ptaka, miałam wrażenie, że wszystkie te pałace stanowiły rozdęte do nienaturalnych rozmiarów symbole nadużyć obalonego reżymu. Teraz zaś pełniły funkcję dziwaczných bunkrów, w których stacjonowały siły amerykańskie. Irakijczycy mogli więc sądzić, że Amerykanie zechcą zająć miejsce Saddama i historia zacznie się powtarzać. Jak zauważył jeden z dziennikarzy, „Jeśli usiłujecie przekonać naród, że wyzwoliliście go spod jarzma straszliwego dyktatora, dlaczego sami chcecie zasiąść na jego tronie?”².

Był to już zupełnie inny kraj niż podczas mojego pierwszego pobytu w Iraku. Półtora roku wcześniej przeprawiłam się przez rzekę Tygrys łodzią z doczepianym silnikiem, dzięki pomocy syryjskiego Wydziału Bezpieczeństwa Narodowego i irackich Kurdów. Udało mi się w ten sposób uniknąć nadzoru kontrolujących media cenzorów Saddama,

ale nie mogłam wyściubić nosa poza północny region irackiego Kurdystanu, gdzie ustanowiona z inicjatywy Stanów Zjednoczonych Ameryki strefa zakazu lotów umożliwiła mi przemieszczanie się bez uciążliwej kontroli ze strony reżymu.

Tym razem jednak, zamiast przekradać się tam i z powrotem, Insaf i ja miałyśmy stanąć na irackiej ziemi w majestacie prawa, z odpowiednimi pieczętkami w paszportach. Moja towarzyszka prowadziła teraz przyjacielską pogawędkę ze znajdującymi się na pokładzie samolotu pracownikami organizacji charytatywnych, starannie ukrywając przy tym gotówkę i usiłując opanować nerwy przed pierwszym powrotem do ojczyzny. Poprzez swój przyjazd – i dzięki tym tysiącom dolarów – pragnęła doprowadzić do jakiejś zdecydowanej zmiany w swym ojczystym kraju, nie tylko po całych dziesięcioleciach władzy Saddama, lecz także po wiekach rządów islamu.



Musafar Jakub – niegdyś wygnaniec, a dziś pastor – poprzysiął sobie, że nie wyjedzie z Bagdadu, nawet po tym, jak przeżył zamachy bombowe i doświadczył gróźb ze strony terrorystów.



Bojownicy ISIS zarekwirowali pojazd opancerzony irackiej armii po ucieczce wojska z zajętego przez dżihadystów w czerwcu 2014 roku Mosulu, drugiego co do wielkości miasta w kraju.



Przywódcą ISIS Abu Bakr al-Baghdadi, w swoim pierwszym publicznym wystąpieniu po przejęciu Mosulu przez islamistów, wygłasza kazanie w tamtejszym wielkim meczecie – 4 lipca 2014 roku.



Jeden z domów w Mosulu został naznaczony szczególnym graffiti: arabską literą „n”, oznaczającą chrześcijan. Symbolizuje słowo Nasara, czyli Nazarejczyków, gdyż pod taką właśnie nazwą chrześcijanie znani są w języku arabskim.



Insaf Safu trzyma na kolanach dziecko wysiedleńców na przedmieściach Irbilu w czerwcu 2014 roku. Łańcuszek na jej szyi, z wisiorkiem w kształcie mapy Iraku, to ozdoba, z którą nigdy się nie rozstaje.



Grupa złożona z ponad stu pięćdziesięciu kurdyjskich jazydów założyła obóz w niewykończonym budynku na północy Iraku. Jazydzi są systematycznie wypędzani ze swej ojczyzny przez bojowników ISIS.

„CHRZEŚCIJANIE W IRAKU I SYRII NIEUSTANNIE ZMAGAJĄ SIĘ ZE ŚMIERTELNYM ZAGROŻENIEM. W TAMTEJSZYCH KOŚCIOŁACH EKSPLODUJĄ BOMBY, GINĄ KAPŁANI I PASTORZY, A CHRZEŚCIJAŃSKIE DZIECI PORYWANE SĄ DLA OKUPU.

Rodzinom, których przodkowie przetrwali dwa tysiące lat w regionie przemierzonym niegdyś przez Chrystusa, grozi teraz śmierć z rąk islamskich terrorystów. Dziennikarka Mindy Belz już od wielu lat zajmuje się tematem prześladowań chrześcijan na Bliskim Wschodzie. Jej książka zawiera poruszającą relację o tym, co znaczy być uczniem Jezusa w tamtym rejonie świata. To wstrząsająca, lecz również inspirująca opowieść o ludziach niezachwianej wiary.”

MELANIE KIRKPATRICK – autorka książki *Escape from North Korea*

„Pisząc książkę *Mówią o nas: niewierni*, Mindy Belz dała popis dziennikarskiego kunsztu i przenikliwości. To absolutnie fascynujące dzieło, z którego możemy się dowiedzieć, jak doszło do ludobójstwa na wielką skalę i prześladowań trwających na Bliskim Wschodzie w tej właśnie chwili. *Tolle lege!*”

ERIC METAXAS – autor bestsellerów „New York Times” *Bonhoeffer* oraz *Cuda*

„Dzieło Mindy Belz powinno być nominowane do nagrody Książka Roku! Świat nie może dalej ignorować ludobójstwa i prześladowań na Bliskim Wschodzie. Przeczytajcie więc tę książkę, a potem kupcie po jednym egzemplarzu dla wszystkich swoich przyjaciół!”


DR RICK WARREN – autor międzynarodowego bestselleru *Życie świadome celu*

„Są tematy, które dzisiejszy świat chciałby przemilczeć. Osoby, o których wolałby zapomnieć. Książka *Mówią o nas: niewierni* to zaproszenie czytelnika do wsłuchania się w głos cierpiących chrześcijan na Bliskim Wschodzie. Życząc «niespokojnej» i owocnej lektury.”

KS. PROF. WALDEMAR CISŁO – Pomoc Kościołowi w Potrzebie

„Bóg pragnie, żebyśmy poprzez tę książkę dostrzegli wierzących w potrzebie. Na przykładzie wspólnot w Iraku i Syrii uczy nas, że w Kościele chodzi o miłość Chrystusową, którą mamy mieć także wobec swoich wrogów.”

LESZEK OSIECZKO – Open Doors Polska



MINDY BELZ jest redaktorem magazynu „World”, publikowała także w „Weekly Standard”. Ma na swoim koncie relacje z wojen na Bałkanach, w Sudanie, Iraku, Syrii i Afganistanie. Przekazywała wiadomości bezpośrednio z wydarzeń w Nigerii, Egipcie, Turcji oraz w innych krajach. Występowała też w telewizyjnych programach informacyjnych kanałów Fox News i ABC News.



KUPUJĄC TĘ KSIĄŻKĘ
WSPOMAGASZ ODBUDOWĘ
SZPITALA W ALEPPO W SYRII



CENA 44,90 ZŁ REPORTAŻ

WWW.AETOS.PL

ISBN 978-83-61097-63-1



PATRONI:

